



Kryminał z myszką

84

Sygnaty śmierci

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

SYGNAŁY ŚMIERCI

Kryminał z myszką – Tom 84

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-50-1

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1988, seria „Labirynt”

PROLOG

Nie rozumiał. Najpierw zresztą było to tylko lekkie zdumienie i irytacja, stopniowo przechodzące w lęk. Nie rozumiał przede wszystkim, co się stało. Pamiętał doskonale, że weszli do tego pomieszczenia, które trudno było nazwać salą czy pokojem, raczej klatką. Że stanęli pośrodku. Rozglądał się wówczas z umiarkowaną ciekawością; prawdę mówiąc, śpieszyło mu się i wołałby już wrócić do domu. Patrzył jednak dokoła, dostrzegł ściany gołe, szare, wydały mu się z jakiegoś metalu. Podłoga też była taka, twarda i zimna. Sufit wisiał nisko, nie więcej niż dwa metry nad głową.

Podszedł do jednej ze ścian, postukał.

– Żelazobeton – mruknął. – A wentylacja?

Nie otrzymał odpowiedzi. Pomieszczenie nie miało okien; powietrze płynęło skądś niewidocznym otworem, ale skąpo.

– Duszno tu – zauważył.

Znowu brak odpowiedzi. Dopiero kiedy odwrócił się, spostrzegł, że jest sam. Dziwne, ale na gładkiej powierzchni ścian nie mógł dojrzeć drzwi, którymi przecież przed chwilą weszli. Zrobił kilka niezdecydowanych kroków w prawo, potem w lewo. Miał ochotę krzyknąć; głupie uczucie wstydu, że się boi, zamknęło mu usta. Obszedł ściany wokół, wodząc ręką po metalu, ale nie wyczuł klamki, kontaktu czy ukrytego zamka. Jeżeli był, to z tamtej strony.

Wtedy właśnie poczuł strach. Czy to złudzenie, że jego ciało, zwłaszcza klatka piersiowa, szyja, mięśnie rąk i nóg, zaczyna w niepokojący sposób drgać? I że to drganie – absolutnie niezależne od jego woli – potęguje się? Coraz trudniej mu było oddychać, dławiło w gardle. Zaczął krzyczeć, ale głos jakby zamierał. Dokoła panowała cisza.

Raptem podłoga zakolysała się pod nogami; stracił równowagę i upadł. Po chwili wstał, próbując mimo wszystko zrozumieć, co się z nim dzieje. Chwiał się jak pijany. Teraz już wiedział, że to nie podłoga się kołysze; to on ma coraz silniejsze zawroty głowy. W uszach narastał szum, biły dalekie dzwony.

Pomyślał, że w tej żelaznej klatce znajduje się jakiś trujący gaz. Pociągnął nosem, ale nie wyczuł żadnego zapachu. Gaz mógł być jednak bezwonny, oszałamiający jak złowrogi narkotyk... Którędy przedostawał się do pomieszczenia? Przez sufit czy ukryte szpary w ścianach?

Przetarł oczy, które zaczęła przesłaniać szara mgła. Spojrzał w bok, na ścianę po prawej stronie, i zmartwił. Ściana – ciężka, metalowa, osadzona na betonie – pochylała się, falowała. Już nie mógł krzyczeć, zaschło mu w gardle. Wyężając resztki sił, prawie na czworakach podpełznął do tej ściany, bo może za nią było wyjście z przeklętego kręgu dławiącej trucizny. Usiłował zachować równowagę; podniósł się, przyjrzał i teraz dopiero dostrzegł, że na ścianie wisi szara zasłona, na pierwszy rzut oka niewidoczna i tak przylegająca, że nie wyczuł jej, przesuwając palcami w poszukiwaniu drzwi.

Zasłona! A więc za nią na pewno są drzwi, tamtędy musieli wejść i tam znajdzie ocalenie. Ból w całym ciele stawał się niemożliwy do zniesienia. Dygocącymi palcami dotknął zasłony, z wielkim trudem odsunął brzeg. Dalej zobaczył drobną, metalową siatkę. I właśnie za nią coś kołysało się, falowało. Jakiś gigantyczny tłok czy membrana. To COŚ oddychało rytmicznie, bezszelestnie. Jak potwór.

Chwyciły go torsje, ogarnęło przeraźliwe zmęczenie. Osunął się na podłogę. Przed oczami już nie miał szarej mgły; teraz widział czerwone ogniste płyty, wirujące z ogromną szybkością. Ból doszedł do granicy wytrzymałości – i przekroczył ją.

Rozdział 1

Świtało. Jaśniejące niebo wróżyło pogodę, wiatr uganiał się między drzewami i strącał pożółkłe liście. Pachniało tymi liśćmi, grzybami – jesienią.

Pierwszy pekaes przeleciał szosę; zapchany do niemożliwości, nawet nie stanął na przystanku. Kierowca wiedział, że o tej porze wszyscy jadą do warszawskich fabryk. Chłopak na rowerze, pedałując zawzięcie, patrzył tylko przed siebie. Śpieszyło mu się. W chwilę potem na szosie ukazał się jednokonny wóz, załadowany workami ziemniaków. Woźnica ćmił ekstra mocnego, spoglądał to na drogę, która wiała się przed nim, to na brzeg lasu po jednej stronie. Raptem coś go zaintrygowało. Ściągnął lejce, zatrzymał konia, zlął z furmanki. Przeszedł rów, zagłębił się między drzewa, niedaleko, może pięć kroków.

Na trawie pod krzewem czarnego bzu leżał człowiek. Woźnica przyglądał mu się chwilę, potem schylił się, ujął leżącego za rękę. Była zimna i sztywna.

– Trup – powiedział do siebie. Patrzył teraz uważnie, ale nie dostrzegł śladów krwi. Ostrożnie przewrócił go na plecy, potem usiłował posadzić, łudząc się, że tamten jednak żyje. Obejrzał dokładnie ubranie, buty, złoty zegarek, obrączkę. Westchnął i zagłębił rękę w kieszenie marynarki. Nie znalazł portfela ani żadnych dokumentów.

– Prrr! Stooj! – krzyknął na konia, który przysunął się do rowu i zaczął skubać trawę.

Rąbnęli gościa, forse wzięli, na resztę pewnie nie mieli czasu – rozmyślał. Przysiadł obok, popatrzył na drogę, potem na twarz leżącego. Była przeraźliwie biała, oczy na wpół otwarte. Woźnica oceniał go w myślach na czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat; pewnie urzędnik, nauczyciel albo lekarz, w każdym razie nie wsiowy. Co on tu robił? Wysiadł z pekaesu? Najbliższy przystanek o sześć kilometrów. Załatwili go w nocy, bo sztywny, zimny. Na grzyby chyba się nie wybierał, miałby koszyk. Buty szykowne, brązowy zamsz. W takich nie chodzi się do lasu, w mokrą trawę. Wiatrówka z podbiciem, prawie nowa.

– K... mać, co robić? – zaklął, drapiąc się po karku. Po prawdzie, to zbyt mu się nie spieszyło, kartofel nie mleko. Dostawę miał umówioną prywatnie, kiedy zajędzie, to odbiorą, nie pali się.

Splunął, zapalił papierosa, zawrócił konia na prawą stronę szosy. Do najbliższego posterunku milicji miał nie więcej niż dwa kilometry. Położył parę ziemniaków nad rowem dla oznaczenia miejsca, gdzie leżał nieboszczyk. Świsnął na gniadego i pojechał.

*

Dwie godziny później w tym samym lesie, przy zmarłym, który teraz fachowo nazywał się „denat”, stało trzech milicjantów. Przyjechał niemal cały posterunek z Kowalewa; nieczęsto zdarzał im się trup. Obejrzel, pomedytowali, z radiostacji w wozie powiadomili Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych, gdyż sprawa wydawała im się podejrzana.

– A jak niepotrzebnie? – zatroskał się kapral. – Przyjadą, ochrzanią, że mogliśmy sami.

Zawsze był taki: ostrożny, bez własnej inicjatywy, tyle że obowiązki służbowe znał jak należy. Plutonowy spojrzał na niego z góry, zgasił papierosa i wcisnął niedopałek w kieszeń kurtki, aby nie zostawiać mylących śladów.

– A jeżeli to jest, na przykład, wiceminister? Co o nim wiemy? Tyle, co nic. Ochrzanić mogą, jak spartaczymy śledztwo. Niech przyjeżdżają i wezmą to na siebie.

– Klawo jak cholera! – ucieszył się starszy szeregowy; właśnie telewizja nadawała po raz nie wiedzieć już który serial „Gang Olsena”.

Z zakrętu wyskoczył radiowóz, zahamował obok rowu. Wysiadł mężczyzna szczupły, śniady, z bardzo jasnymi włosami. Czarne wąskie oczy obrzuciły stojących przelotnym spojrzeniem, potem wzrok zatrzymał się na zmarłym. Plutonowy poznał majora Szczęsnego, zasalutował i odsunął się, aby zrobić miejsce. Za Szczęsnym wygramolił się technik z

aparaturą, a na końcu – temu nigdy się nie spieszyło – lekarz medycyny sądowej, doktor Stern.

– Kto go znalazł? – spytał major. – Kiedy?

Plutonowy krótko zdał relację. Znalazł rolnik z Kowalewa, powiadomił o siódmej pięć. Przy denacie żadnych dokumentów. Wiek, na oko – zawahał się, zerknął na doktora.

– Na oko to mi możecie... – Stern był nie w humorze. Stęknął, bo od rana bolały go stawy, przykląkł obok ciała. Zbadał je w miarę dokładnie, przyjrzał się zagasłym, poszarzałym żrenicom. – Interesujące – mruknął. Spojrzał na Szczęsnego. – Sekcja może być nietypowa – rzekł niejasno. – Chyba nie miał jeszcze sześćdziesiątki.

Wstał, wytarł ręce w kawałek ligniny. Patrzył na zwłoki, wyraźnie był zaintrygowany, co mu się przytrafiało rzadko. Technik wykonał kilkanaście zdjęć, ziewnął i odszedł na bok, aby spokojnie wypalić klubowego.

– Żadnych śladów zabójstwa? – Szczęsnego zaciekawiły słowa lekarza.

– Żadnych. Chociaż... – Wzruszył ramionami, hałaśliwie wytarł nos. – Myślę, że nie była to śmierć naturalna, atak serca lub coś w tym rodzaju. Nie.

– Mimo iż nie użyto tu broni palnej, noża, łomu ani siekiery?

– Mimo. I nie został otruty. Chyba że ja się nie znam na truciznach, ale to niemożliwe.

– A jeżeli wyrzucono go z samochodu? – wtrącił się plutonowy.

– To by leżał w rowie, jest szeroki na półtora metra. Zmienialiście pozycję ciała? – W głosie majora dało się słyszeć groźne ostrzeżenie.

– My nie! – gorliwie zaprzeczył podoficer. – Woźnica, ten rolnik z Kowalewa, mówi, że próbował go posadzić, myślał, że żyje. Ale nie odciągał zwłok na bok, leżą tam, gdzie je znalazł.

– Mógł być wyrzucony – niespodziewanie Stern zgodził się z plutonowym. – I zawleczony później do lasu. Ściślej mówiąc: nie wyrzucony z pędzącego wozu, ale po prostu wyjęty, kiedy samochód stał, i przeniesiony tutaj.

– Czy już wtedy nie żył?

– Tego nie wiem. Powiem po sekcji. Dziwne... – zamyślił się.

– Co, doktorze?

– Ta śmierć.

– Więc przypuszcza pan, że go zabito? Czym?

– Gdybym to wiedział, sekcja byłaby niepotrzebna. Zresztą może się mylę. – Machnął ręką, zawrócił do samochodu.

Szczesny porozmawiał chwilę z tak licznie zgromadzonym posterunkiem z Kowalewa; milicjanci rozeszli się po lesie, szukając ewentualnych śladów, które mogły mieć coś wspólnego z denatem. Zjawiała się nysa, zabrano zwłoki do Zakładu Medycyny Sądowej, Stern pojechał z nimi. Major z technikiem zostali jeszcze na miejscu.

*

– Wiesz już, kto to jest? – spytał pułkownik Daniłowicz, szef wydziału kryminalnego.

Szczesny zaprzeczył ruchem głowy. Siedzieli w gabinecie szefa na drugim piętrze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Od chwili kiedy woźnica z Kowalewa zawiadomił o znalezieniu zwłok w lesie, upłynęła doba. Jak dotąd nikt nie alarmował milicji o poszukiwaniu człowieka, którego wygląd, wiek i ubiór zgadzałyby się z denatem. Pytano o ludzi starych, cierpiących na zanik pamięci albo o dzieci w wieku szkolnym. Kilka zdjęć nieboszczyka, odpowiednio podretuszowanych, leżało na biurku Daniłowicza, gotowych do ewentualnego zamieszczenia w prasie, ale na to był jeszcze czas.

– Czekam na wynik sekcji – odezwał się major. – Stern miał tam, w lesie, jakieś obiekcje.

– Co to znaczy: obiekcje?

– Dziwił się czemuś. Wiesz, jaki on jest, stary mruk. Nie zdołałem nic z niego wycisnąć. W każdym razie sugerował zabójstwo. O, jest! – powiedział na widok oficera dyżurnego z dużą brązową kopertą w ręku. – Dziękuję, żeś się sam pofatygował.

– Nie mam do was daleko – uśmiechnął się kapitan i wyszedł.

Szczęśny niecierpliwie rozerwał kopertę, szybko przebiegł oczami protokół sekcji.

– No co? – szef okazał umiarkowane zainteresowanie. Opierając się na tym, co mu zreferowano, nie wierzył w zabójstwo. Pewnie zawał.

– Posłuchaj. Czytam, co najistotniejsze. „Silne przekrwienie płuc... pęknięcie wątroby i prawej komory sercowej... nieznana przyczyna uszkodzeń gałek ocznych... Wszystko sugeruje ewentualne silne ciśnienie z zewnątrz...” – Szczęśny spojrzał na pułkownika ze zdumieniem. – To wprost niepodobne do Sterna! Rozumiesz? On nie wie. – Zerwał się, pochodził po pokoju. – Stern nie wie, co naprawdę było przyczyną śmierci! Tego jeszcze za mojej pamięci... Żeby taki świetny fachowiec nie rozpoznał?

Daniłowicz sięgnął po protokół, zaczął czytać. Potem odłożył dokument i rzekł w zamyśleniu:

– Napisał: „silne ciśnienie z zewnątrz”. To by mogło być, powiedzmy, coś w rodzaju cylindra kesonowego. Nie pamiętam dokładnej nazwy, w każdym razie używa się go przy drążeniu pod dnem wody na dużej głębokości. Albo jakaś inna komora, może sztolnia ciśnieniowa. Takich sztolni używa się na przykład w przedsiębiorstwach wodnych, tam to ciśnienie wykorzystują do poruszania maszyn.

– Zbyt skomplikowane. Zabójca musiałby wepchnąć ofiarę do sztolni czy komory, nie byłby wtedy sam, bo w zakładach wodnych i przy robotach kesonowych są przecież wartownicy, służba techniczna. Zastanawia mnie – urwał na chwilę, zajrzał znów do protokołu. – Stern wykluczył śmierć wskutek upadku z dużej wysokości. Jako jedyną przyczynę podaje ciśnienie! Ewentualne! Wygląda na to, że w swej wieloletniej praktyce nie miał dotąd do czynienia z czymś takim. Stefan, dajemy komunikat do prasy?

– Tak. I poślij zdjęcia.

– Facet nie był karany, linie papilarne nieznane. Ubrany przyzwoicie, ręce umysłowego, złoty atlantic... czy wspominałem ci, że zgniecione szkiełko i wskazówki?

– To mogło być wskutek uderzenia ręki o ziemię albo nadepnięcia butem przez zabójcę. Pamiętaj, że musieli go wieźć samochodem, być może w bagażniku.

Dwa dni później w gazetach stołecznych ukazał się komunikat, a w niektórych – zdjęcie nieboszczyka. Prasa prowincjonalna podała wiadomość z dobowym opóźnieniem. Szczęśny rozmawiał długo z doktorem Sternem, potem z paru znajomymi technikami i inżynierami. Odwiedził Zakład Kryminalistyki Komendy Głównej MO, wdał się w dyskusję z docentem chemii i z fizykiem. Usłyszał mnóstwo technicznych możliwości, sugestii, zasypano go szczegółami na temat manometrów, wodomierzy, trujących gazów, budowy mostów, wodociągów – wszystko to jednak nie dawało konkretnej odpowiedzi na pytanie: jak zginął człowiek, znaleziony na brzegu lasu.

*

– Stern powoli wycofuje się ze swojej teorii o ciśnieniu z zewnątrz – powiedział major, wchodząc do gabinetu szefa. – Konsultował wyniki sekcji ze znajomym profesorem anatomopatologiem z Wrocławia, zapomniałem nazwiska, nieważne. Obaj doszli do wniosku, że po pierwsze nie mieli dotąd do czynienia z podobnym przypadkiem, po drugie nie znają sytuacji, w której człowiek mógłby doznać tak poważnych obrażeń wewnętrznych bez widocznych oznak z zewnątrz. Rozumiesz, żadnych ran, sińców, złamanych kości i tak dalej.

– Jeżeli wycofuje się z teorii o ciśnieniu jako przyczynie śmierci, to co ją w takim razie spowodowało?

– On po prostu nie wie. I dlatego od paru dni nie może spać, jest w podłym nastroju, gryzie go ta niewiedza. Pewnie przesadza. Ale znam go już tyle lat i nie zdarzyło się, żeby nie umiał określić, dlaczego denat zmarł. Zawsze było to coś konkretnego: uderzenie, przebicie ostrym narzędziem, uduszenie, utopienie, otrucie. Czy ja wiem, co jeszcze? Oczywiście pomijam śmierć naturalną. Wczoraj Stern zadzwonił do mnie i, zresztą również niepewnie, zasugerował zatrucie gazem, jakimś nie znanym bliżej, specjalnym rodzajem gazu, który powoduje te wszystkie obrażenia. Myślę...

Urwał. Do gabinetu wszedł porucznik z wydziału ogólnego i powiedział:

– Odebrałem u siebie telefon od pani, która zobaczyła w gazecie zdjęcie tego nieboszczyka i rozpoznała w nim ojca. Pozwoliłem sobie poprosić ją tutaj, bo pewnie pułkownik chciałby porozmawiać.

– Jasne, że chciałbym! Kiedy dzwoniła?

– Parę minut temu.

– Wymieniła jego nazwisko?

– Tak. Adam Grodzki. A ona się nazywa Jaworska, jest mężatką.

– Poruczniku, bądźcie tak uprzejmi i zejdźcie do biura przepustek. Poczekaście na nią, potem przyprowadźcie do mnie. Dlaczego telefonowała do was?

– Nie wiem. Pewnie centrala tak połączyła. To ja idę na dół.

– Grodzki, Grodzki... – Szczęsny szukał w pamięci, ale nic mu to nazwisko nie mówiło. – Słyszałeś o nim?

– Raczej nie. Za dużo ludzi znam, żeby wszystkich pamiętać.

Gdzieś po kwadransie zastukano do drzwi. Weszła kobieta w ciemnym płaszczu, młoda, nie umalowana. Za nią ukazał się porucznik.

– To właśnie pani Jaworska – mruknął i znikł.

Daniłowicz podniósł się z krzesła, wyszedł zza biurka. Poprosił, aby zajęła miejsce. Szczęsny trzymał się trochę z boku i przyglądał się uważnie nieznajomej. Dostrzegł bladłość twarzy, lekkie sińce pod oczami, drżenie warg. Była nieładna, miała chyba nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Ubiór wskazywał na pewną zamożność i wyrobiony gust. Ścisnęła w dłoni gazetę i patrzyła na pułkownika z wyrazem twarzy trudnym do określenia.

– To mój ojciec – powiedziała. – Nie żyje?

– Nie żyje. Znaleźliśmy go cztery dni temu, we wtorek, na brzegu lasu w pobliżu miasteczka Kowalewo, właściwie to gmina. Pani jest córką?

– Tak. Trzy lata temu wyszłam za mąż za Lucjana Jaworskiego. Mąż też chciał tu przyjść, ale ma dużo pracy.

– Proszę mi podać bliższe dane ojca. Mieszkaliście państwo razem?

– Nie. Ojciec mieszkał sam. Ja mam jeszcze brata, Andrzeja. Ale on jest teraz w Londynie, wyjechał służbowo. Pracuje w handlu zagranicznym. Też mieszka oddzielnie. Ma kawalerkę na Żoliborzu. A my mieszkamy na Ursynowie.

Mówiła spokojnie, wolno odmierzając słowa. Spoglądała gdzieś w bok nieruchomymi piwnymi oczami.

– Ojciec nazywał się Adam Grodzki, tak?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Czym się zajmował?

– Był ekonomistą. Przez wiele lat pracował jako dyrektor departamentu w ministerstwie. Odszedł na wcześniejszą emeryturę, chyba – zawahała się – tak, półtora roku temu. Miał teraz sześćdziesiąt dwa lata. Matka moja zmarła dość dawno temu, ja byłam jeszcze dzieckiem. Ojciec drugi raz się nie ożenił. Mieszkaliśmy we trójkę, dopóki ja nie wyszłam za mąż. Krótko po mnie Andrzej też się wyprowadził.

– Więc pan Grodzki mieszkał teraz sam. Proszę podać adres.

– Nieduża willa na Mokotowie, ulica Świeradowska trzy.

– Czy orientuje się pani, co ojciec robił, powiedzmy, w ostatnim roku? Czym się zajmował, z kim spotykał?

Milczała chwilę, mnąc w palcach gazetę. Rzuciła przelotne spojrzenie w głąb pokoju, zatrzymała je przez sekundę na Szczęsnym i odwróciła głowę.

– Właściwie – zaczęła niepewnie – ojciec nie... to jest, chciałam powiedzieć, że...

– Nie utrzymywał z ludźmi kontaktów? Nie miał dawnych kolegów? Przyjaciół?

– To nie tak. Miał, na pewno. Ale ja ich nie znałam. Może kilku, jeszcze z jego pracy. Zresztą nie wiem! – Nagle podniosła głos, jakby czymś urażona. – Ja... nie wiem.

– Kiedy pani ostatni raz widziała się z ojcem?

Mruknęła coś pod nosem, znowu pomilczała. Poprawiła kołnierzyk jasnej haftowanej bluzki, pod szyją miała srebrną broszkę. Rozpięła płaszcz, zaraz potem otuliła się nim, może zrobiło się jej chłodno.

– Napije się pani herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Więc kiedy pani widziała ojca po raz ostatni?

– Chyba... w kwietniu. Spotkaliśmy go, byłam z mężem na spacerze w Łazienkach. W którąś niedzielę.

– Nie przychodził do was?

– Raczej rzadko.

– Z pani mężem też się nie widywali?

– Nie. Ojciec nie lubił wizyt. Naszych – uzupełniła obojętnym głosem.

Daniłowicz patrzył na nią, zastanawiając się nad następnym pytaniem. W końcu rzekł:

– Czy pani rzeczywiście na zdjęciu w prasie rozpoznała twarz ojca? Bo jeżeli tak, będziemy musieli zawieźć panią do Zakładu Medycyny Sądowej, aby... abyśmy mieli pewność. Zresztą może pojechać mąż. Wspomniała też pani o bracie?

– Andrzej, tak. Ale go teraz nie ma w kraju. Wiem, bo telefonował do nas z Londynu. Miałam mu coś załatwić.

– Co? – nagle odezwał się Szczęsny, nie ruszając się z miejsca.

Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, wargi jej drgnęły lekkim grymasem, zanim odpowiedziała:

– To sprawa osobista.

– A kiedy wyjechał? – spytał Daniłowicz.

– Chyba dwa tygodnie temu. W „Interfoxie” będą wiedzieć, on tam pracuje. Jest chemikiem.

– Czy ojciec pani miał w domu kogoś do pomocy? Mam na myśli sprzątaczkę, może ktoś gotował mu obiady, robił sprawunki?

Znowu ten przelotny grymas ust, jakby ironiczny.

– Nie wiem.

– Odwiedzała go pani?

– Nie.

– Czy był między wami jakiś konflikt?

Wzruszyła ramionami. Wyszeptała coś, co można było zrozumieć jak: „moja rzecz” czy „moja sprawa”.

– Nie, proszę pani – pułkownik powiedział trochę ostrzej. – To już może być też i nasza sprawa. Pan Grodzki został zamordowany.

Spodziewali się okrzyku zgrozy, wybuchu płaczu. Zamiast tego pokiwała tylko głową.

– Domyślałam się z komunikatu, chociaż tam nie było napisane. Ale twarz... Zresztą gdyby zmarł zwyczajnie, w szpitalu, nie dawalibyście do gazet.

- Nie pyta pani, jak to się stało? I gdzie?
- I tak w końcu się dowiem. Ale ja tam nie pojedę! – zastrzegła stanowczo.
- To znaczy, gdzie? Do miejsca, gdzie znaleźliśmy zwłoki?

Spojrzała na pułkownika, spłoszona. Wyjęła z torebki chusteczkę, dotknęła policzków i nosa.

- Miałam na myśli Zakład Medycyny Sądowej.
- Gdzie pracuje pani mąż?
- Jest kierownikiem domu handlowego „Jantar”.
- Zna pani numer telefonu?

Kiwnęła głową, podała z pamięci. Daniłowicz połączył się, poprosił do aparatu „pana kierownika Jaworskiego”, potem wyjaśnił, że obecność jego w Urzędzie jest konieczna, niech się zwolni i zaraz przyjedzie. Jaworski czekał być może od rana na ten telefon, bo odpowiedział tylko: „Już jadę”. Siedzieli potem w milczeniu; Szczęsny wynotował z dowodu osobistego kobiety jej dane personalne, szef od czasu do czasu odbierał telefony, coś tam zlecał, notował. Zgłosiło się już kilka osób, które rozpoznały na zdjęciu Adama Grodzkiego. Byli to jego dawni koledzy z ministerstwa, a także kuzyn zmarłej żony.

Lucjan Jaworski wszedł do pokoju zadyszany, choć było to tylko drugie piętro; jesienią i na wiosnę dokuczała mu astma. Średniego wzrostu, o ramionach trochę za szerokich i grubym karku, uklonił się obu oficerom, żonę przelotnie cmoknął w rękę i przysiadł obok niej.

– Prosił się pana o przybycie – rzekł Daniłowicz – gdyż pańska małżonka odmawia jazdy na Oczki w celu rozpoznania...

– Ja pojedę! – przerwał Jaworski. – Joasia jest bardzo nerwowa, wolałbym jej tego oszczędzić. Zresztą wcale nie mam pewności, że to mój teść. Zdjęcie nie jest zbyt wyraźne.

– Znał pan go dobrze? Bo od żony słyszeliśmy, że nie utrzymywaliście bliższych kontaktów.

Kierownik zakręcił się niespokojnie na krześle, odkaszlnął.

– Faktem jest, żeśmy się często nie widywali, teść nie lubił wizyt, a ja mam bardzo mało czasu dla siebie. „Jantar” to duży obiekt handlowy. Ale przecież rozpoznam teścia z całą pewnością. Chyba że... Ma twarz, tego, no... zmienioną? Na zdjęciu na to nie wygląda.

– Nie – powiedział major, podając mu jedno wyjątkowo ostre – niech pan się przyjrzy. Tu widać lepiej niż na gazetowym papierze.

Jaworski popatrzał na fotografię, westchnął i szepnął:

– Mój Boże. Tak, to on. Dlaczego był ten komunikat? Czy zabito go gdzieś poza domem?

– Kto panu powiedział, że został zabity?

Lucjan zmieszał się, poczerwieniał. Jego żona nie odzywała się od chwili kiedy wszedł, teraz jednak uniosła głowę i powiedziała:

– Przecież to jasne, że...

– Nie panią pytałem! – Czarne wąskie oczy Szczęsnego błysnęły. – Więc skąd panu przyszło na myśl, że teść został zabity?

– Rozmawialiśmy o tym dziś rano, w domu, kiedy przyniosłem z kiosku gazetę. Wprawdzie w komunikacie nic nie napisano o morderstwie, ale od razu było wiadomo, że coś takiego musiało się stać. Jeżeli milicja czy prokuratura zapytuje, kto zna osobę na zdjęciu, to albo ona zaginęła, albo chodzi o jakieś przestępstwo. Na pewno nie umarł w swoim mieszkaniu i nie w szpitalu, bo wtedy miałby przy sobie dokumenty.

– Pan Adam Grodzki został znaleziony we wtorek szóstego października, to znaczy cztery dni temu – rzekł pułkownik. – Leżał na brzegu lasu w pobliżu drogi, niedaleko Kowalewa. Nie było przy nim żadnych dokumentów ani w ogóle portfela. Dlatego daliśmy komunikat.

– Czy wiadomo, jak zginął? – Jaworski wymówił to szeptem, jakby chcąc oszczędzić nerwy swej żony, choć siedziała tuż obok i musiała usłyszeć. Nie zareagowała jednak.

– Nie mamy jeszcze dokładnych wyników sekcji – odparł major wymijająco. – W każdym razie na ciele nie znaleziono żadnych obrażeń zewnętrznych.

– Więc może to jednak zawal? Ale co by robił w lesie? A jego wóz? Chcę powiedzieć, że gdyby samochód stał gdzieś w pobliżu, to by wskazywało, że pojechał, bo ja wiem, na grzyby? Nie znam bliżej upodobań teścia.

– Jaki miał wóz?

– Ford-sierra, model tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt cztery. Granatowy.

– Gdzie go trzymał?

– W garażu swojej willi – mruknęła Joanna. Miała dreszcze, bolała ją głowa. – Czy ja już mogę odejść? Żle się czuję.

Mąż spojrział na nią z troską w oczach.

– Może ja cię wpierw odwiozę do domu? – zaproponował. – Mam na dole samochód. Potem tutaj wrócę i pojedziemy z którymś z panów na Oczki.

– Proszę bardzo – rzekł pułkownik. – W takim razie czekamy na pana.

Po wyjściu Jaworskich Szczęsny usiadł na brzegu biurka, zapalił i spoglądał na szefa spod przymrużonych powiek.

– Co o nich myślisz? – Daniłowicz z pewnym trudem wyrwał spod majora teczkę z aktami i przezornie oparł na niej łokcie.

– Jeszcze niewiele. Dziwi mnie tylko jej zachowanie. No, bo można być w permanentnej wojnie z rodzicielem, ale kiedy przychodzi śmierć, w dodatku przestępcza... W ogóle tym się nie przejęła.

– Zauważyłem bladość twarzy, podsinione oczy i jakby otępienie, może ukrytą rozpacz?

– Gadanie! Jest błada, bo chora, pewnie przeziębiona. Przypomnij sobie, że nawet nie spytała, jak to się stało. „I tak w końcu się dowiem” – przedrzeźnił lekko sepleniący głos Joanny. – Jakby chodziło o zabitego kota czy pieska. Baba nie ma serca – dokończył, przenosząc się z biurka na krzesło. – Ten kierownik wygląda rozsądniej. Pojadę z nim do Zakładu, potem wrócę i trzeba będzie wziąć ekipę techniczną, otworzyć willę na Świeradowskiej. – Zagwizdał kilka taktów piosenki „Smutne do widzenia”. – Jak myślisz, kto go w końcu zabił?

– Nie mam pojęcia – mruknął szef. – Bierz sprawę, to się dowiesz.

Jaworski wrócił po czterdziestu minutach i zadzwonił z biura przepustek, że czeka. Szczęsny zbiegł na dziedziniec przed Urzędem, rozejrzał się. Kierownik „Jantara” stał oparty o małe czarne suzuki-alto; major ocenił wóz na cztery miliony, przelotnie zastanowił się, ile może wynosić pensja właściciela, postanowił jednak o tym nie myśleć. Do niego należały zabójstwa, nie sprawy posiadania tego czy owego, nawet gdyby w grę wchodziły miliardy.

Pojechali do Zakładu Medycyny Sądowej. Jaworski nie był tam nigdy, więc Szczęsny dla pewności trzymał go za łokieć; zdarzały się tu bowiem nagle omdlenia. Lucjan wyraźnie pobladł, ale szedł posłusznie. Stanął potem nad ciałem, zakrytym białym prześcieradłem, a kiedy laborant odsłonił twarz, Jaworski popatrzał chwilę, kiwnął głową i odwrócił się. Chciał stąd wyjść jak najprędzej.

– Zaraz – powstrzymał go major. – Trzeba to jakoś formalnie. Poznaję pan w zmarłym swego teścia, Adama Grodzkiego?

– Poznaję – wyszeptał zięć, przejęty zgrozą.

Podpisał oświadczenie, wzdrygnął się i ruszył do wyjścia. Na dworze ochłonął nieco, wytarł spoconą twarz, raptem przystanął i spytał już normalnym głosem:

– Więc jak to się stało? Na – zawahał się – no, na głowie nie zauważyłem żadnego śladu uderzeń, pobicia.

– Na ciele też nie ma.

– W takim razie, co? Zawał? Nie, przecież prowadzicie śledztwo w sprawie zabójstwa. Dlaczego?

– Nie wiem – odparł Szczęsny obojętnie. Nie lubił takich pytań.

– Jak to: nie wie pan? – Kierownik okazał się nagle dociekliwy. – Muszą być jakieś oznaki, wskazujące na przestępstwo.

– Widzi pan, myśmy to śledztwo dopiero zaczęli. Kiedy zakończymy i będzie już wszystko jasne, wtedy panu odpowiem.

– Ale dlaczego w ogóle zaczęliście?!

– Sądzi pan, że Adam Grodzki ot tak, dla jakiegoś widzimisię, wybrał się nocą do lasu, pieszo, a to jest od Warszawy kilkadziesiąt kilometrów, w nocy żaden autobus tam nie chodzi, i że ktoś mu zabrał portfel, ale zostawił złoty zegarek, obrączkę, a przy tym wszystkim nie używał przemocy? Być może teść miał zwyczaj oddawać przygodnym znajomym swoje dokumenty i po to właśnie poszedł w las?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI